



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

Od wszystkich i od wszystkiego możemy doznać zawodu, jedna jesień tylko nie zawodzi nas nigdy. Prawda, że dni jej początkowo nie były zbyt obiecujące, że ludzie — po wiosnie chłodnej, lecie wilgotnem i dżdżystem i tych pierwszych dniach jesiennych — nie wiele już się spodziewali dla siebie i daremno im było mówić o babim lecie, o tej wiosnie powrotnej: — otulali się w ciepłe palta, zawczasu czyniąc przygotowania na przyjęcie, za górami jeszcze będącej, zimy. Ten i ów z kwitem zastawnym śpieszył do lombardu, rad nie rad, wykupywał zostającą tam (niby na przechówku) odzież — kulił się, tarł ręce i spotkawszy pierwszego lepszego znajomego z ulicy, wywoził skargi na rok niegodziwy.

— Zima była pod psem, wiosna djabeł wie jaka, lato — odpuść Panie Jezu! — a to znów jesień, że niech ją!

Tak się skarżono i przeklinano.

W oczach tylko moich pocziwa jesień nie traciła nic na ustalonej tradycji swojej. Ciesząc się zawsze dobrą opinią, byłem pewny, że i teraz nie pokpi sprawy i błysnie słońcem i ciepłem wonie i przezczysty namiot błękitów rozciągnie nad nami.

Nie omyliłem się — zjawiała się ciepła, złota, ze wszystkimi czarami swojemi.

Właściwie — chwila, tak zwanego „babiego lata“ już przeszła; srebrna tkanina puchów kwiatowych, owe nitki pajęczce, przybite deszczem do ziemi nie unosiły się tego roku w powietrzu, a jeżeli pojawiła się na błękitcie jakaś nie srebryzta, to była już gościem spóźnionym, płynęła też samotnie po morzu szafirów, nie przez każdego dostrzeżona.

Ja jednak ją dostrzegłem i długo za nią oczyma śledziłem, aż znikła, czy utopiła się w niebie.

Wątku, srebrzysta nitko, — wieleż ty wspomnień rozbudziła w mojej duszy, wspomnień drogie, pięknych, nie zatartych nigdy żadnemi przewrotami losu. A jeżeli piękne — to bardzo dawne, a jeżeli dawne — to sięgające jeszcze lat dziecinnych!

Dziecinne lata!

Ej! oddałby człowiek dzisiejszy swój rozum i doświadczenie, wszystko, wszystko, wszystko — za owe lata dziecinne. Życie w ówczas stawało przed nim jako księga zamknięta, pisana niezrozumiałemi jeszcze głoskami. — Nie otwierał jej wcale, nie przewracał kart tajemniczych, tylko sam te karty wypełniał marzeniami własnemi. Roili się więc od tęczy i blasków i błysków. Był to poemat piękny, na żadne nie dzielony rozdziały, w którym sam autor — marzyciel główną odegrywał rolę, opromieniała go wiara, bał pewnością, że takie, a nie inne będzie snu tego wcielenie. Wiły się więc sny piękne na kołowrotku marzeń, a tymczasem życie zaczęło samo, powoli te kartki przewracać, ilistik po listku z pełnego przepychu kwiatu róży — obrywać. Marzenia przechodziły do dziedziny wspomnień, życie pozostawiało po sobie ślad widoczny swej stopy nielekkiej...

Samolubem jednak byłbym, gdybym w tych wszystkich marzeniach dbał tylko o siebie.

Nie!

Ogarniały one okrag daleko szerszy.

Coś się budziło, rosło, olbrzymiało, grało pieśnią marzeń i pragnień pokoleń kilku.

Pst!...

Przeleciała nitka srebrzysta po błękitcie — i łez parę zadrgało pod powieką.

Przypomniał mi się sen — nie wysniony, niewyspiwana дума — dum!

Czaruje mnie wiosna, zachwyca lato, lecz jesień tylko z tą nitką pajęczą budzi te wspomnienia dziecięcych lat.

Dlatego kocham jesień!

I teraz — jest tak piękna!...

Niebo zupełnie ma wygląd majowy, kryształowo — błękitne, bez śladu omglenia. Zaledwo lekki obłoczek niby piórko wyrwane ze skrzydła łabędzia przesunie się przez jego gładką powierzchnię; wschodzące słońce nie otrząsa się z chmur, za chmury nie zachodzi — nie przyémione świeci dzień cały, i rzuca snopy światła i zdroje ciepła. — To też roi się ludek po wszystkich ulicach miasta; Krakowski-Przedmieściem, Nowym-Swiatem i Alejami płynie głów fala, mrowisko istne! — Odkryte pojazdy krzyżują się po Parku Łazienkowskim, restauracyjne i cukiernicze werendy przepelnione są gośćmi. A od czego jest i kolejka Willanowska, przeprowadzona od tej dawnej rezydencji królewskiej dalej, aż do Jeziorny i jeszcze dalej, aż do Piaseczna.

Niedziela — dzień pogodny — czarowna jesień nocy. — Zebrała się więc nas kupka, takich sobie, jak ja, smarowników od pióra i od rogatek mokotowskich ruszyliśmy per pedes apostolorum do Czerniakowa, ztamtąd już wagonikami do Piaseczna. Po drodze zawadziliśmy o Jeziornę i Chyliecki, to w tej, to w tej karczemce zatrzymaliśmy się, — nie dla pokrzepienia tam sił (broń Panie Boże od myśli podobnej), ale dla przepatrzenia się ochocie świątkującego ludu.

Izba duża, wymieciona porządnie; krom jednego stołu pod oknem, na którym siedziało czterech muzykantów wiejskich, żadnego innego sprzętu nie było, snadź przez wzgląd, ażeby tańczący mieli dość miejsca do rozchylania się i nie zawadzali o stołki i ławy. Sądząc po ochociej bawiących się, przezorność gospodarza nie była zbyt złą. Bas, skrzypiec dwoje i bęben nie próżnowały, rażny oberek toczył się kołem, a szklannice piwa dodawały animuszu. Tu i tam jakiś przyspiewek się odezwał, jakiś żart krotokwilny, i śmiech dziewczęcy, i znowu dalej szedł wir taneczny, aż trzęsły się ściany drewniane gospody.

Taniec jest rzeczą zaraźliwą, szczególnie kto lubi tańczyć. Przyszła więc się otwarcie do tego grzechu

odziedziczono po dziadkach i pradziadkach i choć... możeby niewypadało, — nie dla żadnych konwenansów niedorzecznych, tylko... że się ma...

El—co mi tam!...

Porwałem jakąś dziewczę i jak zakręciłem z nią oberka, aż bas ryknął o półtora tonu niżej, a bęben to już gromowe dźwięki wydawał.

I cóż się stało?—Korona mi z głowy nie spadła— a wyhasałem się ucziwie.

Czy źle?

Nie powiem tego wcale!

Po przysiedzeniu fałdów nad książkami i piórem, po niejednej nocy bezsennej i kłopotach literackie go życia, —po rozpoczętych wizytach i rewizjach, całej komedii salonów — tak dobrze jest czasami... rozpętać się, że takiego wyrażenia użyję i dać folę zupełnej swobodzie choćby w karczemce przydrożnej. Nie rozumiecie mnie źle tylko, łaskawie czytelniczki moje!—i niech—mająca złą zawsze reputację karczemka—nie zaciąży jakąś przewiną na mnie. Kmiecie i kmieciównie, starzy i młodzi, parobcy i dziewczęta bawili się bardzo, przyzwicie, a że podczas podobnej okazji dodaje się zawsze animuszu nektarem, którym i praszczur Noe nie pogardzał — krażyły więc szklaneczki piwa, ale nie dostrzegłem, żeby kto choć jednym kieliszkiem wódki się posilił. W ogóle wstrzemięźliwość w napojach była wielka, co dodatnio wpłynęło na sąd mój o ludzkie miejscowym.

Nie obeszło się jednak bez małej przykrości— a mianowicie: Starzy gospodarze prawie wszyscy byli ubrani w granatowe sukmany z pasowemi wylogami, które nazywali „żupanami“—młode zaś pokolenie zarzuciło już ten strój ojców, a przebrało się w surduty i resztę ubrania ogólnoeuropejskiego kroju. Ta zaraza idąca z miast, która się nazywa modą, rozprzestrzenia się coraz bardziej i wyragowuje piękne narodowe stroje, coraz więcej miejsca dając niemieckiej tandecie. Przysiadłem się do jednego ojca w sukmanie i zaprowadziłem z nim na ten temat gawędkę.

— Dlaczego pozwolacie ojcice no to, by synał wasz w głupim surducie chodził, w którym wygląda jak nieboskie stworzenie, a posponował tak strój rodzimy?

— Czasy już takie—odpowiedział ojciec.

— Lecz cóż wy na to?

Zamyślił się.

— Ha! kieć tera rypnąć nawet w skórę nie można, bo w oczy zara cwika warsiaską modą.

— A co wam warszawska moda!

— A no — nie! ino mi gębę zamykają, co to taniej.

— Czy rzeczywiście taniej?

— Ki dyabli!—kupi sobie surdut, i resztę ubrania—prawda, co niby to za ten grosz żupana by nie sprawił—ale po dwóch miesiącach wszystko to tak wygląda, że ino stracha na wróble zrobić i już. Żupanisko kosztują w sześcioro drożej, ale — ot mój, już piąty rok grzbieta się trzyma i jeszcze, jak pan widzi, po ludzku wygląda. A gdyby i inak było — to się starego obyczaju trzymać godzi... Ale gadaj no im!

Drżały ściany karczemki od gwaru, tupotu, basu i bębna, wesoło było, a gwaro — tylko granatowe sukmany z ponsowemi wylogami pod ścianami siedziały, a surdutki kręcili się w kółko, zmieniając oberka na polkę.

Dotarliśmy do celu naszej wycieczki—Piaseczna.

Mieścina licha, pełna żydów i kóz — i dlatego może na mnie zrobiła bardzo przyjemne wrażenie.

— Co?

— Słowo państwu daje, że tak!

— Dziwny gust!

— Nie—to nie gust, to—wspomnienie!

Achl znów ono!

Nie jestem Mazurem, od lat niezbyt dawnych osiedliłem się nad Wisłą. Urodziłem się niedaleko Dniepru, koło mogiły Perepiata, wszystkie więc moje wspomnienia do tamtej krainy się odnoszą. Zobaczywszy więc Piaseczno, żydków i kozy, śmiecia sporo i ten cały bezład cechujący małe miściny, coś do mnie, jakby od Berdyczowa powiało. Podobało się więc mi Piaseczno i nie mogłem się powstrzymać, bym nie kupił tam kugla, i nie zasiadł do rozmowy z pejsatym gospodarzem pierwszego lepszego zajezdnego domu. Towarzysz mój odcigał mnie od tej gawędy, śpiesząc dalej,

do lasu położonego nad rzeczką Jeziorką zwaną, gdzieś mieli na świeżem powietrzu spożyć dary boże—ale mnie interesował gwar jarmarczny, „mee“ kozy i opowiadanie pejsatego gospodarza zajazdu.

Niby to jestem poetą—gdzież jest poezja w onej mieścinie Piaseczuńskiej? Nie w niej jest ona, lecz w tej potęgę wspomnień, z którymi się łączą złote chwile życia ludzkiego. Przy takim gwarze jarmarczonym, baczaniu kóz, szwargocie chałaciarzy—niegdyś... niegdyś... dusza złote sny roiła.—I wszystko to ukryło się w jakimś zakątku mózgu, przykryte nową warstwą wrażeń, niby zapomniane, zupełnie zapomniane!

Gdzie tam!

Ot, doś mi było stanąć na tym rynku w Piasecznie, by wszystko odżyło i zagadało do mnie głosami dawnymi.

Ale towarzysze moi niecierpliwią się.

— No idę już—idę!

O pół wiorsty od miasteczka, na wzgórzach niewielkich, chwieją się dęby i sosny, złotem, jesieniem słońcem oświetlone. Srebrzystym wężykiem wiję się Jeziorka, płytka na stopę, lecz wartko zwiija się i szemrze, uderzając tu i tam o tamujące pęd jej fali, kamienie. Złudnym jednak jest ten spokój rzeczutki, bywają chwile kiedy ona wzburzyć się potrafi i siłę swoją okazać. Taka malutka, wąziutka, cicha i ledwo szemrzająca, jakby tym szmerem błagała, bym jej nie ogadywał przed wami czytelnicy, — ale rozejrzyjcie się tylko wkoło, a poznacie z łatwością jakie to jest z niej niewiniątko.

Brzegi wysokie—ona w dole skarży się i żali; ale nad temi brzegami rosną potężne dęby i sosny, ale korzenie tych drzew wiszą nagie nad urwiskiem, wszędzie widziś wyrwy, jakby ślady zębów olbrzyma, który rwał, gryzł ziemię i nadbrzeżnym drzewom zniszczeniem groził. To twoje figle rzeczutko kochana, wiosenne figle! Burzysz się i pienisz i waczysz i zgrzytasz i podnosisz pierś swoją na kilkołokciową wysokość. Daremno szepcesz: „Nie oskarżaj“ — na gorącym uczynku cię złowię, gdy przy pierwszych wiosennych roztopach zawitam do ciebie. Ale zło się i tak nie ukryje—skarżysz się ty, lecz się skarż i tych drzew korzenie pozbawione przez ciebie ciepłego okrycia ziemi; skarż i te poszarpane brzegi i położone gałązki olch, które ty niby pieścisz obecnie.

Słońce się chyliło ku zachodowi, gdyśmy opuścili milutkie brzegi Jeziorki. Śpieszyliśmy na kolejkę piaseczuńską, mającą nas do Warszawy odwieźć, ale zanim doszliśmy do niezbudowanej jeszcze stacji, gwizd lokomotywy zawiadomił nas o odejściu już pociągu.

Zatem—piechotą do Jeziornej.

Przybyliśmy w sam czas, wagony odchodziły do Willanowa, ale miejsca potrzeba było zdobywać szturmem. Mimo tłoku i wbrew prawom fizycznym możliwości pomieszczenia się, bo literalnie jeden na drugim siedział—dużo jeszcze osób musiało pozostać, czekając następnego przybycia wagoników, co nastąpić miało po upływie godzinki.

Nie żałuję straconego czasu zużytego na tę przejażdżkę. Pierś odetchnęła świeższym powietrzem, w karczmisku pohałało się trochę, z ojcami pogawędziło, rozbudziło się nieco wspomnień na widok kozy piaseczuńskiej, pomarzyło się nad brzegiem Jeziorki i lekko, zdrowo zawitało się znów do Warszawy, do swojego pokoju, w którym czekały nieprzejrzane jeszcze dzienniki.

Biorę pierwszy z brzegu do ręki i czytam:

„Dziękuję grze!“

Aha! jakiś wypadek w Monaco.

— Boże mój! pomyślałem i jako świat cywilizowany znosi jeszcze tę jaskinię opryszków, polujących na namiętności ludzkie. — Pewnie jakiś nieśczęśliwiec zgrał się do nitki.

Czytam:

Jak zgubną w skutkach bywa gra, zwłaszcza gdy w nią wchodzi hazard—zbytecznym byłoby dowodzić. Przykładów mamy ciągle mnóstwo, doś więc będzie przytoczyć tu wypadek, jakiego świeżo padł ofiarą pewien młody człowiek radomiak, p. S. chwilowo w Warszawie bawiący. Młodzieniec ów przybył z Radomia przed kilkoma dniami w zamiarze udania się dalej, mianowicie do Baku, gdzie

właśnie, dzięki poparciu, otrzymał bardzo korzystną posadę w jednym z tamtejszych przedsiębiorstw naftowych. Na kosztą podróży, zarząd przedsiębiorstwa, za pośrednictwem tutejszego bankiera, przesłał p. S. rs. 300, które tenże onegdaj podniósł, mając zamiar nazajutrz, t. j. wczoraj (było to dnia 28 września. Przyp. mój), udać się do Baku. Faktum jednak stanęło na drodze życia młodzieńca w postaci dawnego kolegi jego z Radomia, niejakiego L. Przyjaciół tedy namawia p. S. aby z nim poszedł na wyścigi, obiecując mu wiele wrażeń, a ewentualnie i grubą wygraną. Po długim wahaniu p. S. daje się skusić, jedzie na wyścigi, tam gra w totalizatora, lecz szczęście mu nie sprzyja. S. rozgorączkowany się, gra ciągle, łudząc się nadzieją odegrania. Przeznaczenie jednak chciało inaczej i lekkomyślny S. słuchając podszeptów przyjaciela, przegrał całe rs. 300. Dziś ofiara totalizatora znajduje się w położeniu bardzo przykrym—nie ma bowiem za co jechać na miejsce, gdzie go oczekuje posada — ani zaś tu w Warszawie, ani w Radomiu nie posiada nikogo, kto by mu pożyczył pieniądze na podróż.

— Więc to nie w Monaco? nie w ruletkę lub rouge-noir, ale tu, u nas, w Warszawie i w totalizatorze pan S. tak się zgrał ucziwie? Prawda! Zapomniałem zupełnie o tej rozkoszy mokotowskiego pola, o tem towarzystwie podtrzymującym *rasę dobrego chowu koni*. Pan S. winien, bo zapomniał o przysłowiu: Broń mnie Boże od przyjaciół, od nieprzyjaciół sam się obronił—ale czyż jagnięcej niewinności jest ta instytucja, dbająca o stadniny krajowe? Zapewne, może mi ktoś powiedzieć, że wolno było panu S. nie grać.

Tak! ale ponieważ ta gra totalizatorska głównie się opiera na rozbudzaniu namiętności ludzkiej—jest więc zła, niemoralna, a przeto—według praw boskich, bo ludzkie szwankują, powinna być usunięta. Zyskają na tem ludzie o słabych charakterach, nie nie straci hodowla krajowych koni, bo takich charcich skakunów ni w pług ni do armaty nie zaprzędziesz—straci tylko Zarząd wyścigów, który nie jest instytucją jakakolwiekbydy korzyść przynoszącą sprawie publicznej. Niech sobie—jako zabawa szczęśliwców—trwają wyścigi — a jeżeli już się nie można obejść bez totalizatora, to niech się nim zajmuje kółko sportsmanów, związanych ściśle z ową instytucją.

Do zanotowania mamy sprawę tyczącą się *konserwacji dzieł sztuki* znajdujących się w kościołach.

Kościółów mamy dużo, znajdują się w niektórych piękne, stare freski, ozdoby stylowe, które, jak wszystko na ziemi, ulega niszczeniu zębami czasu i potrzebuje umiejętnej ręki artysty, by je doprowadziła do pierwotnego stanu świeżości. Niejednokrotnie proboszczowie dbający o świątynie boże, widząc osypujące się tynki, blaknące malowidła, powierzali ich odnowę pierwszym lepszym malarzom i rzemieślnikom, którzy nie mając pojęcia o sztuce, psuli częstokroć dzieło wielkiej wartości. W ten sposób wiele cennych zabytków przeszłości zmarniało, uległo zmianie lub znikło zupełnie. Dzienniki nasze, a właściwie — rzeczoznawcy w dziennikach—upominali wyższe władze kościelne o zwrócenie uwagi na tego rodzaju roboty. Obecnie dowiadujemy się, że „w sferach duchowieństwa wyższego poruszoną została myśl ustanowienia w każdej diecezyi jednego kapłana, którego obowiązkiem byłby nadzór nad dziełami sztuki i zabytkami starożytności, znajdującymi się w świątyniach, dalej udzielanie wskazówek co do odnawiania lub przeróbek samych świątyń, tak, żeby te roboty dokonane były zgodnie z wymaganiami sztuki i poszanowaniem dla cech oryginalnych, jakie im nadał twórca.“

Projekt dobry—oby wykonanie było szybkie, a lepiej do dzieła wziąć się późno—niż nigdy.

DWA SONYETY.

I.

Zegnajcie, piękne kochanki młodości,
W wieńce z róż wonnych i fiołków strojne,
Tak na uśmiechy i radości hojne,
Teraz owiane szarą mgłą przeszłości!

O, śnijcie, śnijcie ciche i spokojne,
Zwiastunki szczęścia, patronki radości—
O Wiosno, Lato, kochanki młodości,
Wszak znów wróćcie, jak wprzód piękne, strojne!

Więc was nie żegnam okrzykiem rozpacz,
Bo wierzę w prędkie rozbudzenie wasze—
A jednak czegoś drzę i czegoś się straszę

I pytam, co ta dziwna trwoga znaczy?...
Ach—bo w kolejach ludzkich—któż odgadnie,
Jak mi was żegnać raz drugi wypadnie...

II.

Witaj mi, smętna chmur ciemnych królowo,
Ubrana w szaty z złota i purpury,
Witaj mi wietrze jesienny ponury,
Co taką pieśnią nuczysz mi grobową!

Ja się nie lękam gnanej przez cię chmury,
Choć taka groźna płynie mi nad głową—
Twoja pieśń smutków już nie jest mi nową:
Nie pierwszy raz ją słyszę i nie wtóry.

I nie mam trwogi, by mi serce skrzepło,
Pod chłodnem tchnieniem piersi twej, Jesieni,
Bo czuję w sobie z chwil ubiegłych ciepło,

Które lód zimny w wrzącą parę zmieni,—
Bo w żyłach moich tętni krew namiętna
Czar wiosny dotąd czuję...

Przychodź, smętna!

Mieczysław Głiński

LUBRAŃCE

POWIEŚĆ

przez

Z N I C Z A.

(Dalszy ciąg).

*

*

*

Szańscy dawali obiad proszony na cześć pani Zeneidy.

Prowadzili oni w Warszawie dom otwarty, nie mając dzieci mogli się oddać całkowicie życiu światowemu, tembardziej, że dla pani Szańskiej bywanie i toalety były największą niezem nie wyczerpaną przyjemnością.

Towarzystwo pani Zeneidy zawsze było przez wszystkich pożądane, i ona też lubiła być w licz-

niejszem otoczeniu, to też pani Szańska, pomimo żałoby po macosze, zaprosiła dla urozmaicenia wieczoru, kilka osób z najbliższego kółka ich znajomych.

Godzina była dosyć późna, czekano już tylko na przybycie pani Zeneidy i Jadwini.

Salon Szańskich robił dodatnie i sympatyczne wrażenie. Oświetlony kilku lampami, z portyerami szelnie okna zasłaniającymi, z dywanami, które głuszyły kroki i chroniły od zetknięcia się z twardą posadzką, zdawał się być zakątkiem cichym i spokojnym, gdzie było ciepło, jasno i wesoło, dokąd nie dochodziły zimne, jesienne powiewy, ciemności wieczoru, ani żaden płacz lub skarga biedy i uciśkn, tych nieodłącznych towarzyszy zimna i ciemności.

W jednym z rogów siedziała pani Szańska ubrana żałobnie, ale w jej toalecie wyczerpane były wszystkie efekta i kombinacye, jakie tylko wytworzyć było można dla podniesienia płci i włosów jasnej blondynki na tle czarnej sukni, bardzo skromnej, ale tą skromnością, która od zbytku stokroć wykwiłniejsza. Rozmawiała z ciotką swoją, hrabiną Hornowicz, siostrą jej nieżyjącej matki.

Pani Hornowicz często i uważnie kierowała badawcze spojrzenie na siedzącą nieopodal córkę jej Marylkę, przystojną szatynkę o ruchach spokojnych, która dopiero od bardzo niedawna w świecie była. Pewna jej nieśmiałość i zamiłowanie do usuwania się zawsze na bok by drugim ustąpić i dogodzić a samej zniknąć w półcieniu, doprowadzała nieraz panią Hornowicz do rozpacz.

Dwaj panowie nie pierwszej młodości zajęci byli emablowaniem Marylki Szański siedział pośrodku i rozmowę uogólniał.

— Więc doprawdy, pani tak bardzo tańczyć lubi? — książę N. Matyldę zapytał. — Podziwiam. Jak dla mnie, terazniejsze tańce najmniejszego nie mają uroku. *C'est tellement bourgeois!* Chodzi tylko o to, żeby suknią wszystkie kąty sali pozamiatać. Terazniejszy walc wszechwładny jest dla mnie bezmyślną monotonną krętaniną.

— Ale ta krętanina jest bardzo przyjemna, — wtrąciła Marylka.

Książę N. pobłażliwie się uśmiechnął.

— O tak, nie zaprzeczam jeżeli się z panią walcuje. Sam taniec jako sztuka w klasycznym pojęciu, powinien być areną dla uwydatnienia ruchów estetycznych i dystygowanych; tymczasem terazniejsze tańce swoim nadzwyczaj szybkim tempem uniemożliwiają wszelkie wykończenie i zaokrąglenie, stają się bezmyślną krętaniną, łatwą do naśladowania, dlatego tak są bardzo spopolitowane. Taksamo tańczy się teraz w salonie i w garderobie.

— Czemużby i w garderobie nie miano się bawić, — wtrąciła Marylka, która zawsze wszystkim życzyła jaknajlepiej.

— Czy książę zawsze tylko powolne tańce protegował? — spytał Szański, uśmiechając się złośliwie, gdyż przyszło mu na myśl, że książę N. ma siły bardzo nadwątłone i że męczy go nawet przyspieszone chodzenie.

— Dobry gust miałem zawsze i we wszystkim. Na ostatniem słowie książę położył lekki nacisk, dostrzegalny tylko dla Szańskiego.

— Ja się taką analizą tańca nigdy nie zajmowałem, — odezwał się wreszcie drugi sąsiad Marylki pan Z. — Celem naszego zajęcia, powinna być dama, z którą tańczymy. Gdybym, na przykład, z panią tańczył, nie wiem, czybym sobie zdawał sprawę z moich ruchów i wrażenia, jakiebym wywierał na patrzących; tobym tylko wiedział doskonale, że nad wyraz szczęśliwy.

Marylka słuchała z uśmiechem komplementów swoich wyłysiałych adoratorów.

— Ja tylko byłbym zawsze za tem, — ciągnął pan Z. — żeby same panie danserów sobie wybierały. Przecież zawsze i wszędzie kierują nami. Czemużbyśmy i w zabawie nie mieli być od nich zależni?

— O! Broń Boże! — zaprotestował książę N. — to byłoby emancypacja, a emancypacja sprzeciwia się dobremu gustowi i wychowaniu.

Kwestyi emancypacji kobiet nikt nie podjął. Instynktownie prawie nikt wprowadzać nie chciał do estetycznego i harmonijnego salonu pani Szańkiej, dysonansu, kwestyi kobiecej, tego płaszczyka w

szarzanego, który używany do najrozmaitszych celów i włóczęny po wszystkich szczeblach drabiny społecznej, przez złą wolę i wykrzywienie intencji, zatracił właściwy sobie kształt i barwę.

— Nic nowego nie wymyśliłeś — ozwał się książę N. — bo panie oddawna już twój pomysł w czyn wprowadziły i przez suggestyę wolę nam swoją narzucają t. j. przepraszam, nie narzucają, ale uszczęśliwiają nas swojemi rozkazami bez słów.

Marylka nie odpowiedziała, ale zrobiła sobie w myśli to spostrzeżenie, że próby poddawania myśli nie zawsze się udają.

W przeciwnym rogu salonu, odosobniony od reszty towarzystwa, siedział jej brat cioteczny, Henryk Lubraniecki i rozmawiał z dawnym kolegą swoim Gogiem A. przystojnym i wesołym młodym chłopcem. Patrzyła wciąż na niego, a oczy mówiły: przyjdź bliżej, porozmawiaj ze mną choć trochę, okruszyna twojej sympatii, życzliwości szczęściem dla mnie bądź!... Nie przyszedł, myśli jej nie odczuł, lub odczuć nie chciał.

Bliskie ich łączyło pokrewieństwo, od dzieciństwa całemi miesiącami razem z sobą przebywali.

Jak z siostrą zwykle z nią rozmawiał, miał zaufanie, wiedział, że go zrozumie, jego radością się cieszył, na smutek pociechę znajdował.

Marylka ze zdziwieniem zadawała sobie pytanie: Czemu on dzisiaj inny niż zwykle? Czemu wzrok jego ślizgał się po wszystkich jednakowo obojętnie, i na niej się nigdy nie zatrzymywał?

Dwaj młodzi ludzie wygodnie siedzieli na kanapie.

— Wiesz co mówił Gogo — możeby warto pójść teraz do tych pań i pleść z niemi trzy po trzy?

— Siedź, kiedy ci dobrze. Nie mam dziś ochoty do rozmawiania i fabrykowania dowcipów *à l'antique*.

Zmęczyłem się dyabelnie; całe popołudnie przesiedziałem w stajni; nie byłem tam od dawna i konie mi ponarowili.

— Ale, *à propos* koni. Powiedz mi czy się nigdy do wyścigów nie przekonasz? Wszyscy się dziwią, że mając tak piękną stadninę, wyścigowych koni nie hodujesz.

— Jak się jest prawdziwym amatorem koni, nie powinno się wyścigów protegować. Ostatecznie, koń wyścigowy nie jest koniem, ale jakimś dziwakiem, spaceniem natury.

— Tak — ale gdy to spacenie natury doprowadzone jest do najwyższego stopnia doskonałości staje się zaletą. To tak samo zupełnie bywa i z urodą. Jeżeli kobieta na przykład, ma jeden szczegół brzydki, to razi i całość psuje, a jeżeli wszystkie rysy są brzydkie, jest jakaś harmonia i oryginalność, i to ma swój odrębny, nawet czasem interesujący charakter. Wolę jednolitą brzydotę niż kontrastujące szczegóły. Powtarzam to zawsze mojej drogiej ciotce Koci. Wyobraź sobie, ona jest niezmordowana; swata mi znowu teraz, dwie bardzo bogate panny. Ciotka jest ostrożna, zawsze po dwie naraz wykopuje, jak się z jedną nie uda to może z drugą, na antydot. Z terazniejszych kandydatek do mojej ręki, serca etc. jedna zezuje na jedno oko, a druga na obydwa. No, już z dwójga złego wolalbym tę, co na obydwa, przynajmniej więcej stylowa, a tamta to ni to ni owo. Ha! Zapomniałem, podobno ta twoja kuzynka, panna Jadwiga D. jest bardzo przystojna?

— Zobaczysz — odrzekł Henryk.

Słuchając — dalszej Goga paplaniny, leniwie powiódł oczami wokoło salonu i zatrzymał je na drzwiach, w których się spodziewał ujrzeć Jadwinę. Marylka szła za jego wzrokiem, pragnęła odgadnąć myśli w wyrazu jego twarzy.

Z przedpokoju doleciał szmer i odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. I Marylka spostrzegła ze zdziwieniem jak nagle twarz Henryka przeistoczyła się w jednej sekundzie. Oczy zajaśniały szczęściem, jasność jakaś opromieniła jej rysy... nerwowym ruchem powstał z kanapy — w drzwiach stała pani Zeneida a za nią Jadwina D.

Marylka nie potrzebowała objaśnień o myślach Henryka. Zdawało jej się, że jej się coś we wnętrzu przerywa, że gardło ścisnęło, i że jasność, przed chwilą jeszcze tak swobodna i wesoła, powlokła się jakąś mgłą posępną.

Nikt na nią nie uważał, wszystkich oczy na przybywających były zwrócone.

— Ach! Jakaż prześlizna. Ktoś obok niej pół głosem powiedział; a ona sobie pomyślała, że gdyby przemówić była zmuszona toby tylko jedno słowo jej myśl wyraziło:

— Tamta, jakaż szczęśliwa.

Podczas obiadu Jadwinę bezprzestannie obserwowała.

Kobiety kochające gdy chodzi o ich ukochanych mają wzrok podwójny, dopatrz się tak lekkich odcienn, jakie dla obojętnych pozostaną nieuchwytnie. Czego nie zobaczają to przeczuja, a takie przeczuć nigdy nie myli.

„Ona go nie kocha,” pomyślała sobie Marylka pod koniec obiadu i uczuła żal do Jadwini, jakby ją samą osobiście znieważała. Ogarnął ją smutek coraz większy i odosabniał od wesołego towarzystwa. Zdawało jej się, że jest sama jedna i opuszczona, że ten gwar i śmiechy przychodzą zdaleka brutalnie i bezwzględnie, wdzierają się do jej myśli, urągają i zgrzytają dysonansem.

Na czarną kawę zgromadzono się w małym saloniku. Światło było niepewne, złagodzone różowemi abażurami, tylko delikatne ciepłe odbłyski przechodziły przez ich wstążki i koronki i rozlewały się dyskretnie na twarzach obecnych.

Jadwinia i Marylka siedziały obok siebie i rozmawiały. Henryk siadł obok swojej narzeczonej.

— Wiesz co, — rzekł do niej, — Marylka to najpocziwsza pod słońcem istota. Nie miałem dotąd przed nią żadnej tajemnicy. Cięży mi na sumieniu, że się z nią moim szczęściem nie podzieliłem. Prawda Jadwiniu, że jej jednej nasz sekret powierzyć można?

— I owszem, nie mam przeciwko temu, — kontenta była, że choć jedna osoba widzieć w niej już będzie przyszłą hrabinę Lubrańską.

— Otóż moja Marylko, powiem ci, ale w wielkim sekrecie, że ja i Jadwinia jesteśmy narzeczeni; nikomu jednak nie mówimy jeszcze o tem, gdyż chciałbym, żeby mój ojciec Jadwinę najpierw poznał osobiście.

Henryk na Jadwinę patrzył bezprzestannie; rad był, że ma przy sobie te dwie istoty, które mu były najdroższe, choć każda na inny sposób.

— Winszuję wam i życzę, żebyście byli szczęśliwi, bardzo szczęśliwi, — rzekła Marylka po długiej chwili, gdy głos w krtani odnalazła i spostrzegła, że wypadło coś powiedzieć.

Później widziała jak tamci z sobą rozmawiali, ale co znaczyły te dźwięki, które się obijały o jej uszy, wyjaśnić nie byłaby zdolna.

Przy drugim stoliku rozmowa była wesoła, dominował głos pani Zeneidy.

— Prawdziwą nam pani krzywdę wyrządza, — mówił książę N. nie bywając w warszawskich towarzystwach.

— Jak skończę interesa zaczęę uszczęśliwiać dawnych znajomych. Mam dobre serce, nie będę światła pod korcem kryła, naturalnie siebie mam na myśli.

— Byleśmy długo na to nie czekali. Byle tak nie było, że „nim słońce zejdzie rosa oczy wyje.”

Gogo A. przysunął się do Jadwini.

— Czy pani mnie przyjmuje do swego towarzystwa? Tamci są bardzo w stylu „hôtel de Rambouillet.” Ja lubię starożytność ale tylko w umeblowaniu, zaś co do osób wolę, jak są z naszego pocziwego dziewiętnastego wieku.

Gogo zawiązał z Jadwiną dłuższą pogawędkę.

— Henryku, — rzekła Marylka zbliżając się do niego, — dziękuję ci za dowód zaufania. Tylko proszę cię, nie odbieraj mi go w przyszłości; nikt ci tak dobrze, jak ja nie życzy. Pamiętaj tak jak dawniej mówić mi o każdym twoim zmartwieniu, wesołe nowiny niekoniecznie; na takie, zawsze są chętni słuchacze. Czy dobrze? Czy zawsze mi powiesz o każdym twoim smutku?

— Jeżeli je mieć będę, — odrzekł Henryk, — tyś zawsze, moja droga Marylko, była najlepszą z kuzynek.

Gdy wszyscy obcy się rozeszli, pani Zeneida usiadła, jakby do dłuższej pogawędki.

— Moi drodzy, — rzekła, — naumyślnie dłużej zostałam, gdyż mam z wami do pomówienia.

Wszyscy usiedli, pani Zeneida ciągnęła dalej:

— Ogromnie mnie martwiło, coście mi o waszym ojcu powiedzieli. Po rozważeniu sama widzę, że jego trzecie ożenienie się, jest zupełnie prawdopo-

dobne. Zanadto was wszystkich kocham, ażeby nie dołożyła wszelkich starań, by go uchronić od popełnienia powtórnego głupstwa. Znając waszego ojca, wiem dobrze, iż czyjaś opieka i ciągle towarzysztwo konieczne mu jest do życia. Mając jedno i drugie nigdy by o ożenieniu nie pomyślał. To też ja, waszego ojca i wasze dobro mając na względzie, pomimo, że to jest wielkiem zboczeniem od mojego zwykłego trybu życia, no, ale mniejsza o mnie jeżeli o dobro drugich chodzi, postanowiłam te nudne wiejskie zimowe miesiące przepędzić razem z waszym ojcem w Lubrańcach i chronić go przez ten czas od obcych i niepotrzebnych wpływów.

— Ach! Jaka ciocia jest pocziwa! — zawołała Szańska, która łatwowiernie, wszystko co słyszała dosłownie sobie tłumaczyła.

Pani Zeneida ciągnęła dalej:

— Ale moja droga Helenko, powinniśmy się wszyscy w rodzinie za ręce trzymać. Może ja i Jadwinia to będzie zamało dla ożywienia Lubrańców; zatem, postanowiłam wam proponować, żebyście tam zimę przepędzili. Dla mnie byłoby to wielką przyjemnością i rozweseleniem w wiejskiej monotonii, a przecież i wy macie względem ojca pewne obowiązki, powinniście się czasem poświęcić dla umilenia mu jego życia.

Pani Zeneida mocno nalegała na Szańskich i Henryka, cichy samotny pobyt z samym Lubrańskim nie bardzo jej się uśmiechał.

Wszyscy jej racę przyznawali, ale nikt jeszcze nie dawał decydującej odpowiedzi. Szański uśmiechając się, spoglądał na panią Zeneidę i myślał, że pewno droga ciocia nie bez własnych widoków, przyjęła tak odmienną od swej zwykłej, barwę rodzinnej serdeczności i poświęcenia. Równocześnie kombinował, iż niepomyślne obroty w jego własnych interesach, trudnem czyniły utrzymanie domu w Warszawie przez rok okrągły, nie chcąc bowiem żony alarmować, żadnych nie zaprowadzał oszczędności. Przepędzenie zimy w Lubrańcach byłoby bardzo a bardzo pokrzepiającym odpoczynkiem dla jego mocno sfatygowanej kieszeni. Wziąwszy wszystko w rachubę, pozwolił żonie zabawić się w poświęcenie.

— Ja mieszkam tylko o trzy mile, mogę być gościem bardzo częstym, — rzekł Henryk, który był rad nad wyraz, że Jadwinia jedzie do Lubrańców, przypuszczał, że może ich małżeństwo ułoży się samo z siebie, łatwo i bez trudności.

Wyjazd ten dogadzał każdego z rachubie, troska o szczęście Lubrańskiego, była wyborną barwą, w którą ustrajano własne interesa i kombinacje.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Wkroczyliśmy od razu, bez żadnych wstępów w pełnię sezonu muzycznego. Teatr i estrada podały sobie ręce i wspólną rozpoczęły kampanię, która, z pierwszych początków sądząc, każe wiele spodziewać się na przyszłość.

Opera, po kilkumiesięcznym wypoczynku, rozwinęła żagle, wpływawszy na pełne morze repertuarowe. Liczny zastęp śpiewaków włoskich staje na posterunku scenicznym, a publiczność muzyczna Warszawy oczekuje z upragnieniem prawdziwie artystycznych wrażeń. Oprócz tego nasze instytucje muzyczne przygotowują muóstwo koncertów, których dopiero przedsmak mieliśmy w ostatnich czasach.

Nie można powiedzieć, żeby premiera, wystawiona w Teatrze Wielkim przypadła do smaku publiczności, pomimo że główną rolę w „Lakmé” Delibes’a śpiewa znakomita bez zaprzeczenia artystka, panna Pacini, dla której specjalnie operę tę u nas przygotowano.

Znaliśmy twórcę z nadzwyczaj pięknego baletu: „Coppelia,” przed kilku laty z wielkim powodzeniem w Warszawie wystawionego; werwa, temperament, lekkość i melodyjność muzyki ujęły wtedy

słuchaczy i zjednały kompozytorowi sympatyę ogólną.

Delibes, który przeszedł dobrą szkołę teoretyczną i praktyczną, jako wyborny organista w kościele św. Jana i Franciszka, zapragnął tryumfów na scenie.

W dziewiętnastym roku życia (1855) napisał operetkę, potem kilka oper komicznych i takowe wystawił.

W r. 1868 tworzy balet „La source,” później zaś „Coppelię” i „Sylwję.” Były to najlepsze dzieła Delibes’a. Trudniej mu szło z operami, napróżno się silił na ekspesję dramatyczną. Nie miały też powodzenia ani „Le roi la dit” (1873), ani „Jan de Nivelle;” wreszcie z pod pióra jego wyszła „Lakmé” (1888). Skorzystawszy z mody orientalizmu, Delibes poszedł w tej mierze śladem Verdi’ego, który przedtem stworzył „Aidę,” ale nie dorównał wielkiemu poprzednikowi ani pod względem inwencji, ani pod względem formy muzycznej.

Rzecz dzieje się w Indjach Wschodnich, gdzie z jakiegoś miasta kilka młodych osób pod przewodnictwem guwernantki uchadza sobie wycieczkę.

W lesie ukryta jest chata, w której Bramin Nilakantha ukrywa swój skarb, „córę bogów,” Lakmé; w niej zakochał się młody oficer i zapomina o swej narzeczonej. Nilakantha jednak nie chce, żeby córka kapłana mogła umiłować cudzoziemca i śmierć mu zaprzysięga, raniąc go podczas procesyi. Kochająca Lakmé chroni go i od niechybnej śmierci ratuje, on jednak przypomina sobie, iż musi te marzenia porzucić — a wraz z niemi piękną dziewczę. Lakmé zrozpaczona zażywa trucizny.

Dramat w librecie nie należy do szczęśliwych i wydaje się zlepkiem epizodów, połączonych z sobą za pomocą wielu *recitativów*, mniej lub więcej luźnych. Dramat muzyczny przedstawia się lepiej, zwłaszcza charakter egzotyczny został przez kompozytora uwytłumiony bardzo trafnie i w artystycznym kształcie. Inne ustępy opery są monotonne i nie wywierają spodziewanego wrażenia; brak im przedewszystkiem szczerego uczucia i siły lirycznego wyrazu. To, co w operze jest istotnie pięknego, dawno znamy z estradowych popisów różnych śpiewaczek, a mianowicie w akcie drugim „Melodyę” i w akcie trzecim „Kolysankę.” Ładny jest także kwintet w akcie pierwszym. Intradą ma temat, który się następnie powtarza w chórze braminów, odznaczając się powagą i oryginalnem zacięciem.

Znakomitą wykonawczynią tytułowej partyi była p. Pacini, obdarzona prześlizną koloraturą. Artystka to pierwszorzędną miary, zdumiewająca techniką głosu, wytworna zarówno w kierunku wokalnym, jak i gry scenicznej. Interpretacja panny Pacini jest zawsze subtelna; kunszt wykonania posunięty na nadzwyczajny poziom doskonałości; wszystko zaś to zdoła indywidualny wdzięk śpiewu, który się każdemu w wysokim stopniu. Kreacja Lakmé była też w całym tego słowa znaczeniu piękną, cechowały zaś ją wszystkie zalety niepospolitego talentu artystki.

Inni wykonawcy nie mogą iść w porównanie z p. Pacini. O panu Ravelli nie da się więcej powiedzieć nad to, iż niegdyś miał ładny głos tenorowy. P. Aleksander Poliński, który p. Ravelli’ego słyszał przed dwudziestu laty, powiada, że „wówczas miał piękny głos, lecz śpiewać wykwinie nie umiał; obecnie umie śpiewać wykwinie, ale za to nie ma czem.”

Charakterystyka to bardzo ujemna, lecz jednocześnie bardzo trafna.

Korzystnie się przedstawili: p. p. Silieb i Grabzewski, oraz panie: Dylewska i Przygodzka.

W muzyce Delibes’a, jak wszędzie tak i tu, część baletowa odgrywa najlepszą rolę. Balet w „Lakmé” urozmaica akt drugi i składa się z trzech tańców: „Rektan,” „Persian” i „Terana,” które wykonywały z istotnym wdziękiem p. p. Chrzanowska, Materno i Nowakiewiczówna.

Należy oddać dyrekcji teatru wszelkie pochwały za wystawienie opery; uczyniono tu wszystko, aby dzieło zaprezentować publiczności jak najefektywniej. Dekoracje wykonane przez p. p. Kozłowskiego i Klopferę są świetne; kostiumy zaś, wypracowane przez panią Tatariewiczową i p. Słupńskiego, zasługują na gorący oklask.

Bardzo dobrze wypadła na scenie naszej wzniesiona „Afrykanka,” Meyerbeera. Rola Seliki odśpiewała ładnie p. Zilli, Vasco di Gammą był p.

Apostolu. Artystka jest wyborną śpiewaczką i doskonałą aktorką, nie też dziwnego, iż partya w takiej interpretacji posiadała odpowiednią siłę i ekspresję.

Sympatycznym śpiewakiem jest również p. Apostolu, choć po raz pierwszy wystąpił w zbyt dla siebie dramatycznej partii.

W traktowaniu roli znać swobodę doświadczonego śpiewaka, wybornie znającego środki i tajniki sztuki wokalne; miła powierzchowność, ruchy zgrabne i eleganckie, szlachetność obejścia — wszystko to sprawia, iż artysta ujmie, a interpretacją swoją zdobywa aplauz ogólny.

Rola „Mignony“ należy do tych posta i scenicznych operowych, które swoimi rysami pociągają ku sobie, jedynając liczną rzeszę wielbicieli. Przepyszny typ bohaterki Goethego-Thomasa stworzyła na naszej scenie p. Mira Hellerówna; od tej pory nie widzieliśmy prawdziwej Mignony; ostatnim razem słyszeliśmy w tej partii panią Monti-Baldini, artystkę uzdolnioną, lecz nie posiadającą już w brzmieniu głosu nieodownie potrzebnej tu świeżości. Gra sceniczna również jest dobra, choć całość interpretacji nie odznacza się wyjątkowymi przymiotami.

Niejednokrotnie wspominaliśmy na tem miejscu o talencie młodego barytona naszej opery, p. Grąbczewskiego; od pierwszego występu swojego śpiewak ten zajął nas i zwrócił na siebie uwagę rzeczywistymi zaletami wokalnymi, jakie posiada. Z ciekawością też podążyliśmy na debiut p. Grąbczewskiego w „Rigolecie.“ Trzeba przyznać, iż artysta pokonał w znacznej części trudne zadanie, jakie miał do zwalczania. Oczywiście, dramatyczny nastrój partii niekorzystny jest dla lirycznego barytona, nie też dziwnego, iż p. Grąbczewski musiał dołożyć wszystkich starań, aby opanować partję; bądź co bądź jednak wysiłek w tym kierunku, częściej powtarzany, mógłby niedobrze wpłynąć na głos śpiewaka i nadwzględzić go zbyt znacznie.

W przedstawieniu tem wzięła udział, jako Gilda, panna Pacini, która i tę rolę wykonywała przesłiznie. P. Apostolu znalazł w roli księcia pole do popisu, śpiewał z zapałem i — zmuszany do tego — powtarzał każdą arję, nie przepuszczając żadnej.

Towarzystwo muzyczne wystąpiło na rozpoczęcie sezonu z przepyszny koncertem Moniuszkowskim. Koncert ten zawdzięczamy p. Władysławowi Zahorowskiemu, prezesowi sekcji moniuszkowskiej w towarzystwie muzycznym. Szanowny inicjator ze znanym powszechnie zapałem do dzieła się zabrał, artystów uprosił, do pracy wszystkich zachęcił — i oto mieliśmy koncert wspaniały, godny pamięci wielkiego kompozytora, którego święciliśmy właśnie 50-letni jubileusz wystawienia po raz pierwszy jego opery, p. t. „Loterya.“

Na koncercie zaprodukowano wyjątki z tej „Loteryi“, która po dziś dzień interesuje słuchacza.

Dobre bardzo wrażenie wywarła uwertura „Kochanki Hetmańskiej“, świetnie zinstrumentowana przez dyrektora Noskowskiego. „Mazura weselna“ zinstrumentował p. Grossman.

W wysokim stopniu zajęła słuchaczy opera „Paryż“, z której uverture i romans wykonano na koncercie z wielkim powodzeniem. Solowe pieśni Moniuszki dopełniły programu.

P. Gutman-Kwiecińska odniosła na koncercie Moniuszkowskim rzeczywisty tryumf. Oklaskiwano wysoce utalentowaną artystkę entuzjastycznie. Towarzyszył jej na fortepianie mistrz-akompaniator, prof. Ludwik Urstein, który osiągnął w tej mierze zupełną doskonałość. Bardzo słusznie jeden z krytyków muzycznych porównywał grę prof. Ursteina z interpretacją znanego w Warszawie przed kilku laty pianisty, p. Szłözera, istotnie lepiej akompaniować niepodobna.

Tej to wybornej grze prof. Cinka (wiolonczelista) oraz prof. Ursteina, a także śpiewowi p. Szlezygierówny, zawdzięczała p. Wanda Landowska, iż się jej utwory na wieczorze w resursie kupieckiej w kozytnym uwidatniały świetle. Był to koncert młodej kompozytorki, która po skończeniu konserwatorium muzycznego, studjuje obecnie tajniki twórczości w Berlinie. P. Landowska posiada niewątpliwie talent, potrzebuje jednak dużo jeszcze pracować, zanim zdobędzie własną technikę i otrząśnie

się z wpływu różnych wzorów. Tymczasem, jestto dopiero zapowiedź przyszłości.

Po nad solistami rozpoczynającego się sezonu muzycznego dominował słynny skrzypek berliński, Willy Burmester, którego poprzednie w Warszawie występy przemówiły tak dobitnie do słuchaczy, iż się tłumy zgromadziły i tym razem.

Jestto technik wprost bajeczny, olśniewający; takich biegników, staccatów, tryłów — a zwłaszcza takich fadzeoletów i októw nikt chyba więcej niema na świecie. Duchowa strona interpretacji stoi niżej od technicznej; dla tego też kiedy Burmester porwał wykonaniem wariacji Paganini'ego, nie wzruszał wcale nokturnem Chopina. O ileż te rzeczy piękniej i idealniej odtwarza smyczek naszego Barcewicza.

Poznała się na tem wielkoświatowa publiczność paryżka, która przed tygodniem miała sposobność podziwiać grę Stanisława Barcewicza na wystawie muzycznej w stolicy Francji.

Nieporównany sentyment gry Barcewicza i przedziwna precyzja wykonania porwały słuchaczy, składając im dłonie do przeciągłych i powszechnych oklasków. Dzielnym naszym artystą koncertował w Paryżu dwukrotnie: 30 Września i 3 b. m. Program obydwóch koncertów był jednakowy i składał się z koncertu Wieniawskiego, introdukcji i Ronda Capricioso Saint-Saënsa, „Melodii“ Paderewskiego i „Mazurki“ Kątskiego. Cieszy nas niewymownie to wielkie powodzenie, które towarzyszyło Barcewiczowi, który bez wątpienia da się wkrótce poznać *dwóm światom*, jako genialny w swoim rodzaju jedyny wirtuoz.

Sądząc z tej intrady, którą usłyszeliśmy na wstępie sezonu świeżo otwartego, mamy wszelkie prawo spodziewać się, iż zimowa kampanja muzyczna należeć będzie do zajmujących pod każdym względem.

A. Dobrowolski.

SIOSTRY NAPOLEONA.

IV.

Paulina Borghese, Księżna Guastalla.

(1780—1825).

(Dalszy ciąg).

Wkrótce nadeszły dni próby i niedoli.

Czuąc zbliżające się jej widmo, księżna Paulina pragnęła, w 1813 r. kupić sobie, na wszelki wypadek, zamek w Westfalii, niestety jednak, już jej ku temu zabrakło funduszy; posyła więc p. Decazes, sekretarzowi matki cesarskiej, naszyjnik dyamentowy i prosi o spieniężenie tegoż. Klejnot oceniony był na 211,000 franków. Księżna żąda 100,000 fr. w złocie, resztę papierami, przyczem prosi przede wszystkim o tajemnicę, gdyż chce pieniądze te mieć w ręku, dla przesłania ich cesarzowi, w razie gdyby klęski wojenne postawiły go w krytycznym położeniu.

Turquan stara się rzecz tę zamatować, ze wszystkiego jednak widocznem jest, iż Paulina użyła zamku w Westfalii za pretekst jedynie, by mieć gotówkę dla Napoleona. Dalsze wypadki ujawniają to wyraźnie.

Z rokiem 1814 cesarstwo chyli się ku upadkowi.

Paulina zimę tą przebyła częścią w Nizy, częścią w Hyères. W kwietniu zamieszkiwała w departamencie du Var, w zamczku Luc, należącym do jednego z deputowanych ciała prawodawczego. Wiadomości niełatwo tu dochodziły; osłabienie zaś, odsuwała księżną od świata; nie przeto nie wiedziała o zaszłych wypadkach, nie zasłyszawsza nawet o abdykacji Napoleona. Nagle, d. 26 kwietnia, zjawia się kurjer dworski, z zawiadomieniem, iż

cesarz przejeżdżać będzie za chwilę przez Luc i zatrzyma się u siostry.

Wkrótce nadjeżdża powóz, zajęty przez komisarzy państw zjednoczonych, a poprzedzający pojazd cesarski. Dygnitarze ci uprzedzają księżnę Borghese o zaszłych przewrotach i obaleniu Napoleona.

Paulina, skamieniała, nie rozumie o co chodzi; wreszcie przypuszcza, iż cesarz umarł lub został zabity, a panowie ci w ten sposób przygotowują ją do wieści żałobnej.

— Jeżeli cesarstwo runęło, — woła, — to chyba dla tego, że mój brat nie żyje!

A gdy jej kategorycznie zaprzeczono, nieszczerliwa dodaje:

— Jakżeż więc mógł znieść i przetrzymać cios taki?

Żyły popłynęły jej z oczów i, zrozumiałwszy cały ogrom niedoli, runęła bez zmysłów na ziemię.

Gdy ją ocucono, pod oknami jej rozlegały się już okrzyki nienawiści i gniewu skierowane przeciw upadłemu bohaterowi.

Namiętna, łatwo zapalna ludność południa, ta sama, która niedawno rozlewała krwi potoki, w imię rewolucji, a przeciw królestwu, teraz z kolei, gotowa była zamordować i rozszarpać żywcem cesarza, w imię entuzjazmu jaki ją ogarnął dla Ludwika XVIII i całej rodziny królewskiej.

Zbrodniczy zamach ten, o mało nie został doprowadzony do skutku, podczas przejazdu Napoleona przez Orgon.

I pod oknami Pauliny brzmiał jeden tylko okrzyk: „Precz z tyranem! precz z cesarstwem!“

Wściekłe to wycie tłumu dochodziło doskonale do łóżka, w którym, łzami zalana, leżała biedna Paoletta, mająca za całą opiekę dwie damy pałacowe tylko.

Grom spadający niespodzianie zachwiał do reszty siłami nieszczęśliwej. Napróżno próbowała się podnieść na przyjęcie brata; przechodziło to jej możność, a ból i wycieńczenie zdawały tylko łez potoki.

Na spotkanie więc cesarza wyszedł jedynie pan de Montbreton.

— Gdzie księżna? — zawołał Napoleon.

Ale szambelan Pauliny cofnął się, nie poznając swego władcy. Cesarz przebrany był w mundur austriacki i zmieniony ogromnie.

— Muszę się ukrywać w obcych sukniach, bo nędznicy ci chcą mnie zamordować, — objaśnił.

Szambelan wprowadził go do pokoju księżnej.

Paulina, poznawszy zdaleka głos brata, wyciągnęła ku niemu ramiona. Wtem, Napoleon stanął na progu w mundurze oficera austriackiego, ręce zaś Pauliny opadły, a rysy jej przybrały wyraz głębokiej obrazy. Byłże to odbłyśk dawnej niechęci do bratowej, Maryi-Ludwiki, którą zwykła nazywała Austriaczką, czy obrazą uczuć patriotycznych, spowodowana tem, iż Austria przystąpiła do koalicji przeciw Francji, byłaż to duma, która nie mogła znieść zwycięzcy z pod Rivoli, Austerlitz i Wagram, w mundurze nieprzyjacielskim, — któż odgadnie? Dość, że Paulina, ujrawszy go, opuściła ręce i, cofając się na łóżko, zawołała:

— Nie, nie mogę cię uściskać w tem ubraniu!

Miłość siostry zwyciężyła jednak odrazę, zalamując więc dłonie, dodała, z przejmującym bólem.

— Och, Napoleonie, coś ty uczynił?

A teraz, cóż za piękny, co za wzruszający nawet rys charakteru Napoleona. Zbolały, nieszczęśliwy, ścigany jak zwierzę osaczone, zamiast się zniecierpliwić tym kaprysem dziecinny, umie on w takiej nawet chwili uszanować uprzedzenia swej siostry. Cofa się do przyległego pokoju, każe sobie podać francuski mundur gwardyi cesarskiej i, przebrawszy się w niego pośpiesznie, staje dopiero napowrót u wezgłowia chorej.

Paulina jednak zawstydzona tą jego względnością, siłą woli podniosła się tymczasem, a zarzućwszy suknię czekała na brata, z głębokiem wzruszeniem, któremu i obecni nie mogli się obronić, gdy rodzeństwo, wśród łez, padło sobie w objęcia.

Paulina zatrzymała Napoleona półtora dnia w swej willi, nie szczędząc mu oznak najtkliwszego przywiązania. A gdy nareszcie wyruszyć było trzeba, gdy *l'homme des siècles*, jak go nazywano, zaczął się żegnać, by iść na wygnanie, siostra, wzruszona głęboko, błagała by pozwolił towarzyszyć sobie, by jej

nie bronił dzielić niedoli, tak jak dzieliła pomyślność i szczęście.

Kładziemy nacisk na epizod ten, bo jakkolwiek jest on dość naturalnym, w rodzinie Bonapartych jednak, do cudów należy.

Łączność i solidarność pojmował tylko Napoleon i on jeden w czyn ją wprowadzał; reszta korzystała z jego uczuć, dopóki był u szczytu powodzenia i władzy; zaparła ich się z chwilą upadku mocarza, który ich wszystkich nad poziom dźwignął. Wszak najmłodsza z sióstr jego, Karolina, nie cofnęła się nawet—przed zdradą. Szlachetne uczucie wdzięczności znanem było Paulinie tylko.

Ze względu na stan zdrowia księżnej, cesarz na wyjazd jej natychmiastowy nie zezwolił, prosząc by go odłożyła do chwili, w której silniejszą będzie. Pomimo tego odprowadziła go do Mury, zajątraz zaś do Frejus. W parę tygodni jednak później, bo 1 czerwca, widzimy ją już na wyspie Elbie, przywożącą bratu ważną depechę Murat'a; w dwa miesiące zaś potem przenosi się tam na stałe i zajmuje, obok bawiącej już, od jakiegoś czasu, przy synu, matki Napoleona, dom, położony na skale, królującej nad miasteczkiem Porto-Ferrajo.

Madame-Mère przyjmowała niekiedy, podczas zimowych wieczorów, (1814—1815) wybitniejsze osobistości wyspy Elby, oraz oficerów, którym pozwolono towarzyszyć Napoleonowi na wygnanie. Cesarz otwierał także czasami dom swój; w jednych zaś, jak drugich zebraniach, rolę gospodyni odgrywała księżna Borghese.

Na zarzut, jakoby Paulina pochłaniała podówczas sumy bratu, najlepiej odpowiada szczegół, przytaczany przez Turquan'a, z *Correspondance de Napoleon* *).

„Fewnego dnia, generał Bertrand przedstawił cesarzowi, następujący rachunek:

„Mam zaszczyt upraszać Jego Cesarską Mość o zapłacenie ośmiu stor, założonych w salonie księżnej Borghese. Płótno zostało dostarczone przez księżną samą; za robotę jednak, należy się: sześćdziesiąt dwa franki, trzydzieści centymów.“

„Cesarz zaś odpisał własnoręcznie na marginesie:

„Nie ja robiłem obstatunek i nie pozwałam wnieść go do budżetu. Skoro księżna zamówiła story, niech je sama zapłaci.“

Z drugiej strony, w rachunkach wydatków, prowadzonych na wyspie Elbie, przez M. Peyrusse'a, znajdujemy: w rozdziale III-im, pozycja IV-a, sumę 240 franków, które „z rozkazu cesarza mają być zapłacone przez księżną Borghese, za żywienie jej koni.“

Nawet Turquan, pomimo niechęci swej dla Bonapartych, przyznaje, iż dokumenty tego rodzaju zbijają wszelkie nieprzychylnie pogłoski, jakie o stosunku Pauliny do Napoleona starano się podówczas rozpuszczać. Wygnanie, dzielone z bratem, to właśnie najpiękniejsza, najczystsza, bo ofiarna, a nawskroś bezinteresowna karta w jej życiu.

Po ucieczce Napoleona z Elby, Paulina opuszcza także wyspę, z zamiarem udania się do Rzymu; zatrzymuje się wszakże w Viarregio, gdzie wynajmuje sobie domek pod miastem. Strzeżona i trzymana pod dozorem, umiała jednak omylić czynność państw związkowych i powrócić do Paryża.

Poświęcenie jej dla brata, nie ograniczyło się do pobytu na Elbie. Chcąc dopomóc Napoleonowi do wybicia się i odzyskania władzy, oddaje mu, obok części znacznej majątku, wszystkie dyamenty, te dyamenty i klejnoty, które przecież bardzo kochała, którymi pyścić się lubiła. Rys to tak piękny, iż historya mówiąca tyle złych rzeczy o Paulinie, powinna go notować na jej dobro. Brak jej było zasad moralnych, w chwilach powodzenia; w nieszczęściu jednak, umiała zachować serce szlachetne, do wdzięczności zdolne.

Napoleon przyjął ofiarę, która, niestety, stała się bezowocną.

Furgon bowiem, kryjący owe przepyszne dyamenty, zabrany został w bitwie pod Waterloo przez Anglików, którzy drogocenne owe kosztowności wystawiali następnie, na widok publiczny, w Londynie.

Po strasznej tej klęsce, Lucyan Bonaparte, przesyła Paulinie mocno podówczas chorej, list następujący:

Neuilly, d. 26 czerwca, 1815 r.

„Zapewne wiesz już, droga Paulino, iż cesarz, dotknięty nowem nieszczęściem, zrzekł się tronu, na rzecz swego syna. Wyjeżdża on do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, gdzie i my wkrótce za nim podążymy. Jest spokojny i odważny. Postaram się połączyć z rodziną mą w Rzymie, by ztamtąd powieść ją za ocean. Jeżeli zdrowie twoje na to pozwoli, mam nadzieję, że się tam spotkamy. Do widzenia, droga siostrze; Mama, Józef, Hieronim i ja, całujemy cię szczerze.

Twój przywiązany brat.

Lucyan.“

Jak wiemy projekt ten upadł i jeden Józef tylko wyemigrował do Ameryki.

Kardynał Fesch udał się do Rzymu, by wynająć pałac Falconieri, dla siostry swej, matki Bonapartych. *Madame-Mère* przeniosła się tam bezzwłocznie, przyczem ofiarowała gościnę córce swej, Paulinie, której zdrowie mocno już było zachwiane.

Pałac Falconieri, położony w pobliżu zbiegu Corso i placu Wenezja, przy ulicy Julia, składał się z dwóch skrzydeł. Jedno z nich pomieściło kardynała Fesch, drugie: córkę z matką.

Książe Kamil Borghese przeniósł się do Florencji.

I skończył się sen uroczy, w którym Paulina żyła od lat dwudziestu!... Dziś, chora, złamana, miała tylko jedno marzenie: udać się na wyspę S-tej Heleny, by obecnością swą nieść trochę pociechy i otuchy nieszczęsnemu skazańcowi; zarówno jednak stan zdrowia jej, jak zawiść Anglii, nie pozwalały na to. Sprzedała więc wszystko, co posiadała cenniejszego; starała się spieniężyć każdą drobnotkę, by cenę jej przesłać cesarzowi, przyczem oddała do jego dyspozycji cały swój majątek.

Sądźmy, że ten rzadki dowód serca, okupuje dostatecznie błędy lekkomyślności, jakie jej wpięrz zarzucano. Nie zapominajmy, iż z trzech sióstr ona jedna nie otrzymała żadnego, absolutnie żadnego wykształcenia. Eliza wychowaną była, bądź co bądź, w Saint-Cyr, Karolina pozostawała przez czas dłuższy w zakładzie słynnej pani Campan; jedną Paulinę, rzucono na łaskę dziwnych, fantastycznych jej losów, bez najmniejszej busoli moralnej, lub umysłowej. Nieszczęście, przyprowadzając ją do przytomności, wykazało, iż była to natura o gruncie dobrym i szlachetnym.

Chora, wycieńczona, ma ciągle jedną tylko na myśli troskę: wielkiego wygnania, opuszczonego swego brata. Dowiedziawszy się od księdza Buonavita, plebana korsykańskiego, który powracał z wyspy S-tej Heleny, o rozpaczonym stanie zdrowia Napoleona, wstrząśnięta wieścią tą, pisze do lorda Liverpool'a list następujący:

Rzym, d. 11 Lipca 1821 r.

„Milordziel

Ksiądz Buonavita, przybyły z wyspy Świętej Heleny, przywozi nam bardzo zatrważające wieści, o zdrowiu mego brata. Załączam tu kopie listów, omawiających szczegółowo, jego cierpienia fizyczne. Choroba, jaką został dotknięty, staje się śmiertelną na wyspie S-tej Heleny. W imieniu więc wszystkich członków rodziny naszej, żądam i proszę o zmianę klimatu dla mego brata. Odmowna odpowiedź w tym względzie, będzie mu wyrokiem śmierci...“

Niestety, przedstawienie to przychodziło za późno. Wieść o zgonie Napoleona miała być na nie odpowiedzią.

Doktor Antommarchi, opuściwszy wyspę po skonanu cesarza, wioząc żonę jego, Maryi-Ludwice, ostatnie słowa zmarłego. Zastał ją w teatrze, od dawna pocieszoną po wdowieństwie, które teraz dopiero przychodziło.

Rozezarowany, udał się do Rzymu, do Ludwika Bonaparte, eks-króla Hollandyi. Aliści, rzecz niesłychana, ten go nie przyjął, tłumacząc się niezdrowiem.

Żałobny wysłaniec zwrócił się wtedy do Pauliny. Była ona naprawdę chorą i ciężko chorą. Pomimo tego, drzwi jej stały otworem przed Antommarchim, któremu kazała opowiadać ostatnie chwile swego brata; każde jego słowo, każdy rozkaz, każde spojrzenie nieledwie.

Opis tego strasznego a powolnego konania, dobił ją prawie. Odtąd sama dogorywała stopniowo.

We Wrześniu, 1823 r. stan jej był beznadziejnym. Lekarze sądzili, iż zmiana powietrza może jej przynieść ulgę. Przeniesiono więc chorą, z wielkimi ostrożnościami, do *villa Paulina*, położonej przy bramie Pia. Ale był to zawsze Rzym, nie zaś wzmacniający powiew wsi gór lub morza.

Ztamtąd jeszcze, korzystając z chwilowego polepszenia, przewieziono ją do Florencji. Nie żyła, lecz wegetowała tu czas jakiś, jak kwiat podcięty a w oczach więdnący, aż wieść o napadzie rozbójników, nie groźnym zresztą, na wilę księcia Canino (Lucyana Bonaparte), przeraziwszy ją, przyspieszyła koniec.

D. 9 Czerwca, 1825 r. zgasła we Florencji wyrocznia mody i najpiękniejsza zarazem kobieta, z czasów konsultatu i cesarstwa.

Książe Borghese, na wstawienie się papieża Leona XII-go i matki cesarskiej, Letycyi Bonaparte, zgodził się, przed śmiercią Pauliny, udzielić jej mężowskie swe przebaczenie.

W żonie jego, zbudziła się jednak piękna grzesznica. Czując—opowiada Turquan,—iż zbliża się, według słów Bossuet'a, „godzina Boża,“ kazała sobie podać—lustro. I, jak niegdyś Neron, umierając, wołał: *Qualis artifex pereo!* tak teraz Paulina, przejrawszy się w zwierciadło, oświadczyła, iż zamknie oczy spokojnie, bo wie—że jest zawsze piękna.

Była to jedyna jej pociecha.

Biedna kobieta, kończy Turquan, przeszła do wieczności, z uśmiechem na ustach i—lustrem w ręku.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Perła Antyllów.

(Dokończenie).

Jak z jednej strony warunki tutejszego klimatu szybkiemu kiełkowaniu i wzrastaniu roślin bardzo sprzyjają, tak z drugiej strony przyczyniają się do tego olbrzymie opady w okresie deszczowym od maja do października, które w krótkim czasie niszczą wszystkie drogi, zamieniając je w łożyska rzek.

Przy wielkiej bo 3.500 klm. wynoszącej rozciągłości brzegów, wyrządza również i fala morska podczas burz wiele szkód, wstrzymując dzieło rąk ludzkich i tworząc wzdłuż brzegów liczne moczary i laguny, t. zw. ciénagas. I nawet olbrzymie ławy koralowe, skały i bezdna, które się rozciągają na setki kilometrów w głąb morza, nie są w stanie ochronić wyspy przed niszczącą potęgą bałwanów morskich. Tysiące wysp i ław otacza Kuba, tworząc podmorskie ogrody, jakie widzimy w akwariach i które zaliczylibyśmy raczej do świata roślinnego aniżeli do zwierzęcego.

Ten zewnętrzny wał z wysp i raf, utrudnia bardzo zbliżenie się morzem do wyspy i czyni żeglugę wzdłuż jej wybrzeży bardzo niebezpieczną, nie też dziwnego, że przykładano doń w licznych powstaniach, jakie tu w tym wieku miały miejsce, bardzo doniosłe strategiczne znaczenie; bo jak z jednej strony ułatwiał świadomym miejscowości przewodnikom dowóz broni i żołnierzy, mających wesprzeć usiłowania krajowców, tak z drugiej strony przedstawiał bardzo wiele niebezpieczeństw dla ścigających Hiszpanów, którzy nie mieli odwagi zbytnio zbliżać się tu na swoich głęboko się zanurzających okrętach wojennych i torpedowcach.

Te niedostępne po dziś dzień dla obcych góry, które niekiedy jak np. Sierra Maestra dosięgają wysokości 2.000, a nawet 2.500 m. rozciągają się w po-

*) *Correspondance de Napoleon I-er*, t. XXVII, p. 446. pièce 21,670, Porto-Ferrajo, 31 janvier, 1815.

łudniowo-wschodniej części wyspy; opisy tych okolic, jakie słyszymy z ust krajoznawców, napełniają nas żalem, że cudnych tych widoków oglądać nie można.

Z opisów tych przypominają one bardzo dziewicze lasy Brazylii i Ameryki środkowej, o tyle są jednak od tamtych piękniejsze, że widać przez nie sąsiednie morze. W prowincjach Puerto Principe, Santa Clara i Pinar del Rio, wznosi się ziemia również do znacznej wysokości, a góry posiadają tu mają także bardzo wiele powabów; lecz właśnie te prowincje są obecnie główną widownią zażartej wojny. Tu rozgrywają się owe zacięte walki, którym w wysokiej mierze sprzyja gęsty zwrotnikowy krzew „manigua” rosnący pod wpływem silnych deszczów bardzo szybko wszędzie, gdzie tylko ziemia odłogiem leży. Konieczną jest najdokładniejsza znajomość miejsca, ażeby się mógł oryentować w tych gąszczach, tak więc sama przyroda zdaje się pomagać krajoznawcom w walce przeciw Hiszpanom, nad którymi mają jeszcze tę wyższość, że są wybornymi jeźdźcami. Brak dobrych dróg jest przyczyną, że jazda konna jest poza miastem, w najbliższej nawet odległości, jedynym środkiem komunikacyjnym, to też mieszkańcy tutejsi przyzwyczajeni są do niej od najwcześniejszego dzieciństwa, i wyglądają jakby przyrośnięci do małych swych i wytrzymałych koników. Konie te służą także jako zwierzęta pociągowe zwłaszcza tam, gdzie jeszcze nie ma kolei żelaznych, gdzie drogi są tak nieprzebyte, że nawet lekkich dwukołowych wózków używać nie można, gdzie wreszcie rozsiane są liczne potoki i rzeki, które w bród przebywać trzeba. Specyalne karawany przewożą produkt kraju z odleglejszych okolic do magazynów nadbrzeżnych; sieć kolejowa jest bowiem, pomimo że w ostatnich czasach wiele nowych linii wybudowano, jeszcze bardzo słabo rozgałęzioną i długość jej na całej wyspie nie przenosi 2,000 klm.

Brak tu również dobrych dróg wojskowych, któreby się mogły oprzeć skutecznie niszczącemu ulewom, a te, które podczas ostatnich rozruchów między r. 1868 a 1878 wybudowano, dziś są już prawie nie do użycia, a naprawa ich wymaga olbrzymiego nakładu.

Główną arterią komunikacyjną jest morze, to też żegluga wzdłuż wybrzeży jest tu bardzo rozwinięta. Ludność Kuby nie jest wprawdzie tak pstra, jak w innych krajach Ameryki, choć złożyło się na nią wiele czynników, które, zmieszawszy się z sobą, wytworzyły rozmaite odcienia w zabarwieniu skóry i charakterze mieszkańców.

Pierwotnych mieszkańców wyspy, Indian śladu dziś prawie niema, w ciągu bowiem XVI w. wyćpieni zostali do szczytów i kilka zaledwie rodzin zmieszanych z napływową ludnością hiszpańską zachowało się w górzystych okolicach wschodniej części wyspy.

Niektórzy chcą w t. zw. Guajiros widzieć potomków tych pozostałych przy życiu rodzin, badania jednak antropologiczne przeczą temu. Szczupła garstka pierwotnych tych mieszkańców kraju różni się bardzo od Kreolów. Kręcone włosy i pewne charakterystyczne rysy twarzy, jak również wydłużone podbrzoiska, które im ułatwiają służbę wywiadowczą podczas wojny, wskazują na praojców ich Indian. Namietnością, fanatyczną miłością kraju i wolności przewyższają Kreolów, a w powstaniach tego wieku odgrywali bardzo ważną rolę, zachęcając przez swoją waleczność i poświęcenie innych do wytrwałości i przedłużając w ten sposób morderczą wojnę.

Główny kontyngens ludności tutejszej stanowią Kreolowie, których liczba dochodzi do miliona głów; są to właściwie biali, których skóra nabierała pod wpływem słońca podzwrotnikowego barwy brunatnej i pochodzą w większej części od kolonistów hiszpańskich i francuskich. Obdarzeni niezwykłymi zdolnościami, mogliby przy odpowiednim wykształceniu bardzo wiele dokazać.

Szkolnictwo było tu jednak od dawien dawna w zupełnym zaniedbaniu, tak że dziś jeszcze 70 procent całej ludności nie umie ani czytać, ani pisać. Skłonność tę Kreolów do bezczynności zwiększa jeszcze w wysokim stopniu osłabiający wpływ klimatu. Apatya ich jednak łatwo ustępuje największej namietności.

Ciągły ucisk, w którym żyli i żyją wytworzył w nich serwilizm dla swoich władców i wspaniało-

myślność dla podwładnych, z drugiej jednak strony uczynił ich łatwo zapalającymi się, bardzo wrażliwymi i złośliwymi. Miłość ojczyzny i wolności posunięta u nich do najwyższego stopnia i ona to dodaje im siłę, otuchy i wytrwałości w walce o niepodległość. Naturalne ich zdolności, przy zupełnym braku wykształcenia, przebijają się w spryście, zręczności i bystrości umysłu; do studyów poważnych nie mają ani zamiłowania, ani zdolności; miłują za to muzykę, taniec i przepych zewnętrzny, do którego też wielką wagę przykładają. Kubańskie Kreolki, nie dorównują wprawdzie pod względem piękności siostrzycom swym z Chili, są jednak o wiele od nich powabniejsze, umieją bowiem wdzięki swoje podnieść w wysokim stopniu przy pomocy stroju i środków toaletowych. Z powodu nieprzewycięzonego wstrętu jaki czują do wszelkiego ruchu, nabierają zbyt wczesnie tuszy i starzeją się szybko.

Niewolnicy murzynscy, których liczba osiąga 500,000 dusz, różnią się wielce od swoich współbraci w Zjednoczonych Stanach. Los ich na tej wyspie był od dawna dosyć znośny; używali daleko więcej swobody, brali żywszy udział w sprawach swego pana, a tem samem i całej wyspy, która się stała dla ich przodków i potomków ojczyzną; po zniesieniu niewolnictwa brali udział w społecznym i politycznym życiu i popierali w miarę sił dążności Kreolów, skierowane do odzyskania wolności.

Następstwem zniesienia niewolnictwa, było wprowadzenie azyatyckich robotników, których liczba podług ostatniego spisu ludności w r. 1887 wynosiła 44,000 dusz. Ginią oni jednak w masie i nie odgrywają żadnej politycznej roli.

Napływowi i czasowo tu zamieszkali Hiszpanie zajęli od początku wrogię względem Kreolów stanowisko. Dzięki prawom kolonialnym grają wobec ludności tubylczej rolę zwierzchników. Ogólny zarząd, większa własność ziemska, kapitał i handel wszystko to spoczywa w ręku uprzywilejowanych Hiszpanów, podczas gdy ludność tubylcza odsunięta jest od spraw kraju i ta okoliczność stworzyła tę przepaść między Hiszpanami, a Kubańczykami, która była powodem ciągłych krwawych rozruchów w bieżącym stuleciu. Śmiertelna nienawiść względem przesładowców napełnia całe masy ludności tubylczej; nienawiść ta dodaje im wytrwałości w walce i sprawia, że rozruchy na Kubie trwają tak długo, jak np. przedostatni od r. 1868 do 1878 i że ostatnie, rozpoczęte 24 lutego 1895 r. dotychczas stłumione być nie mogą.

Pierwotne wymagania Kubańczyków były całkiem słuszne: żądali oni politycznego równoprawienia z Hiszpanami i udziału w zarządzaniu własnego kraju. Życzeń tych Hiszpanie spełnić nie chcieli, a następstwem tego było, że w Kubańczykach zrodziło się zwolna pragnienie zrządzenia jarzma na jeźdźców, i uzyskania samodzielności i niepodległości wyspy, a pragnienie to stało się obecnie hasłem wojennym.

Liczba wielkich, bardziej zaludnionych miejscowości na Kubie jest bardzo nieznaczna; ludność, której głównym źródłem dochodu jest uprawa ziemi, rozsiała się po całym kraju.

Tytoń, trzcina cukrowa i od niedawna kawa są roślinami najbardziej kultywowanymi, a rozwinięte wskutek tego gospodarstwo plantacyjne przeszkodziło utworzeniu się większej liczby wielkich ognisk. Słabo rozwinięty przemysł—fabrykacja cygar i papierosów z jednej i cukru z drugiej strony, nie był również w stanie przyczynić się do wzrostu miast.

Dawna stolica wyspy Santiago de Cuba, nowsza la Habana, miasta portowe Matanzas i Cienfuegos i wewnątrz wyspy położone Puerto Principe i Santa Clara, stanowią główne ogniska handlu i przemysłu. Habana (wymawia się Hawanna) przewyższa wszystkie inne liczbą ludności, liczy bowiem 200,000 dusz, podczas gdy Matanzas i Santiago de Cuba 30,000, a Cienfuegos tylko 22,000, nie dorównywa im jednak pięknnością położenia. Położona częścią nad morzem, częścią nad wrzynającym się głęboko portem, jednym z największych w Nowym Świecie, tworzy ona wielkie płaskie morze domów nad którym wznoszą się tylko fortele del Morro i de la Punta i zamki del Principe i de Atares; okolice nie nęcą również wielkimi powabami. Piękne promenady Prado i Tacou, jakoteż ogrody na polu marsowem i placu broni stanowią jedyną ozdobę miasta, które swoimi wązkami, dachówką krytymi i źle brukowanymi

ulicami przypomina bardzo małe miasteczka hiszpańskie. Obecnie, pod wpływem wojny, która objęła także i stolicę, przysiębiające wrażenie odczuć się daje w wysokim stopniu na ulicach i promenadach. Dawniej w godzinach popołudniowych promenady te roiły się od publiczności; panowie na koniach, panie w oryginalnych srebrnym okutych wolantach przejeżdżali ulice miasta, dziś puste i jakby wymarłe. Na ulicy Opispo, w której zwyczajnie eleganckie damy załatwiałały swoje zakupy, panuje spokój świąteczny; teatry puste, publiczne lokale, w których przypatrzyć się można było oryginalnym tańcom hawańskim i pełnym powabu „danza criolla” po większej części zamknięte. Zamiłowanie jednak do tańca, muzyki i śpiewu zbyt jest u Kreolezyków wrodzone, ażeby je zwłaszcza u ludu zająć politycznej natury stumić mogły. Gdzie tylko zabrzmią na gitarze pierwsze taktory jakiego ze sławnych hiszpańskich tańców, Fandango, Zapateado, Malaguena lub ulubionego amerykańskiego Cachucha, lub wreszcie miejscowej Habanery, tam i dziś zbiera się zaraz w cieniście podwórzu lub w sali restauracyjnej gromadka młodych ludzi, ażeby zwyciężając przodków zakosztować choć na chwilę przyjemności życia. Taniec ten wywiera na każdego mieszkańca tutejszego upajające wrażenie, któremu się oprzeć nie jest w stanie.

Nawet kościoły, a mianowicie wielka, w r. 1724 wybudowana katedra, w której się mieszczą szczątki Kolumba i która w murach swoich posiada dobre popiersie odkrywcy Nowego Świata, jak również piękna kaplica Kolumba zbudowana pod drzewem, pod którym odbyć się miała pierwsza msza na wyspie, bardzo nielicznie są uczęszczane. Żywszy ruch w obecny tylko w pałacu jenerałego gubernatora i na dworcach, przepełnionych coraz to nowymi oddziałami wojsk.

Pod względem piękności wyżej, jak to już powiedzieliśmy, stoi Santiago de Cuba, stolica wschodniej części wyspy tejże nazwy. Małe to, lecz piękne miasto jest siedzibą władz prowincjonalnych i drugą stolicą wyspy. Położone u stóp gór Sierra Maestra posiada wspaniałe widoki. Zaskonięte od północy, ma klimat daleko łagodniejszy, aniżeli Habana; bujna podzwrotnikowa roślinność, porastająca tarasowaty grunt, nadaje okolicy tej bardzo wiele powabu.

Widoczny zdala na morzu maszt okrętowy, przypomina czasy świetnej przeszłości Hiszpanii, której olbrzymie niegdyś kolonie amerykańskie ograniczają się dziś prócz Puerto Rico na tej perle Antyllów, do której utrzymania wyżyć muszą wszystkie siły. Czy nie stracą i tej posiadłości, jak tylu innych—przyszłość pokaże.

D.

Kronika działalności kobiecej.

— Stowarzyszenie ogródków fröblowskich w Wrocławiu, 35 b. sprawozdanie z czynności stowarzyszenia obejmuje czas od Wielkanocy 1895, do Wielkanocy 1896, i przedstawia nam następujące dane: Najważniejszym wypadkiem ubiegłego roku jest, to, że Stowarzyszenie uznane zostało przez Najwyższą Władzę z d. 1 Lutego 1896 r. jako osobistość prawną wobec ustaw. Do dziesięciu ogródków dziecięcych uczęszczało ogólnie 752 dzieci. Seminarium dla freblanek miało 58, zakład b. m. dla dzieci 80 uczennic. Stowarzyszenie pośredniczyło w 206 do niego zwróconych prośbach i ofiarowaniach pracy, udzielając 96 miejsc, między tem: 28 freblankom, 68 bonom do Niemiec, Austrii, Węgier i Rosyi. Zabawy poobiedne zgromadziły ubiegłego lata 1668 dzieci. Z biblioteki Stowarzyszenia, obejmującej 507 tomów, korzystały pilnie uczennice obu zakładów. Na wystawie powszechnej w Chicago otrzymało stowarzyszenie za roboty dziecinne freblowskie, oraz pani D-r Jenny Asch za model domu freblowskiego Stowarzyszenia dyplom z brązowym medalem. Model domu ofiarowało stowarzyszenie niejskiemu muzeum szkolnemu.

— **Nagrody długoletniej pracy.** W. Księżna Badeńska udzieliła w ostatnich czasach kilku większych odznaczeń kobietom zasłużonym na polu wychowania młodzieży i fabrycznej pracy. Srebrne krzyże otrzymały za 25 letnią gorliwą pracę: panna J. Fiedrich, nauczycielka w ochronce małych dzieci w Wertheim, i Elżbieta Becher nauczycielka w szkółce dziecięcej w Hemsbach. Dalej, dostał się, umyślnie w tym celu ustanowiony srebrny krzyż, robotnikom w przedzalni wełny w Haagen, mianowicie: S. Häslein, W. Graf, A. Ruf, E. Scheer, M. Hagin, a Katarzyna Adler, która lat 53 w Fabryce Herose'a w Konstancy użytecznie i z najlepszym wpływem na stosunki fabryczne pracuje otrzymała krzyż złoty. Wręczenie tych odznak jubilatkom odbyło się wszędzie w uroczysty sposób.

— **W Hiszpanii** zaczynają się kobiety trochę zwa-
wiew, ruszać na polu wykształcenia, szkoda tylko, że to nie idzie bardzo systematycznie od zakładania szkół niższych i średnich przystępnych dla ogółu, lecz objawia się dążeniem do najwyższych kresów wiedzy, zatem w liczbie bardzo ograniczonej. Międzynarodowym zakładem naukowym w San Sebastian dla kobiet kieruje Amerykanka, pani Alicya Gauden-Gulisch. Dwie młode Hiszpanki, które się tam przygotowywały do Uniwersytetu, Estera Alinzo i Juliana Campo, otrzymały już na Uniwersytecie w Madrycie najwyższe odznaczenie za złożone ustne egzamina. A co dalej czynić będą? Czy pomyślą o tych rojach dziewcząt oddanych próżnostkom światowym, zabobonom i ciemnocie, która ogromnym cieniem ściela się jeszcze na społeczeństwie w słonecznej Hiszpanii? Czy pomyślą o założeniu szkoły choćby prywatnej dla tych, może niegdyś, towarzyszek lat dziecińczych?

— **Siostra Józefina**, jedna z najbardziej zaszczytnie znanych osobistości w Doncaster, w tym miesiącu obchodziła dwudziestolecie swojej pożytecznej działalności. Jest ona przełożoną domu sierot i prezesem rady w dwóch przytułkach. Dobroczynność jej znana jest w Anglii szeroko. Ludność z Doncaster zebrała się tłumie, żeby siostrze Józefinie, w dowód czci i uznania, wyprawić owacy.

— **Wicehrabina Boyne** fundatorka nowego szpitala w Shropshire (w Szkocji), zbudowanego z zastosowaniem wszelkich nowych ulepszeń przez szkockiego architekta Edwarda Maidman, była obecną przy uroczystości otwarcia tej wspaniałej instytucji. Po kilku okolicznościowych mowach wręczony został wicehrabinie złoty klucz, z prośbą, żeby wyrzec raczyła, że szpital jest otwarty.

— **Eliza Mosher** otrzymała katedrę higieny przy uniwersytecie w Michigan. Przez długi czas była dyrektorem przytułku dla kobiet w Brooklynie, gdzie zdobyła bardzo szeroką praktykę. Niewiele kobiet na tem polu doszło do tak poważnego stanowiska.

Z bieżącej chwili.

— „Prawit. Wiestn.“ ogłosił przed kilku dniami rozporządzenie dotyczące bardzo wielkiego udogodnienia a mianowicie zaprowadzenia używanych już dawno za granicą przekazów pieniężnych pocztowych i telegraficznych. Przekazy pocztowe i telegraficzne przesyłane być mogą tylko do tych miast, w których istnieją kasy skarbowe, prócz tego telegraficzne tylko do miejscowości, w których są urzędy telegraficzne. Od przekazów pocztowych pobie-

raną będzie należność po 15 kop. bez względu na wysokość przesłanej sumy, od telegraficznych pobierana będzie prócz tego opłata za 20 słów według obowiązującej taksy. Zarządy pocztowe przyjmować będą gotówkę w papierach lub w złocie według kursu przy deklaracjach, które nabywać będzie można w urzędach pocztowych lub telegraficznych po kopiejce za 4 blankiety bez stempla, a za stempel po kop. 15. Opłata pocztowa uiszcza się markami pocztowymi, a za telegramy gotówką. Po otrzymaniu przekazu poczta zawiadamia adresanta i posyła mu odcięty kupon. Pieniądze mogą być na żądanie dostarczone do domu, udogodnienie to dotyczy jednak tych tylko miast, które i obecnie korzystają z możliwości otrzymywania przesyłek pieniężnych w domu. Rozporządzenie to wchodzi w życie z d. 13 Stycznia 1897 r.

— W mieście naszym powstały w tym roku dwie nowe specjalne zakłady naukowe, a mianowicie założona przez p. Rontalera szkoła handlowa i szkoła techniczna pod dyrekcją p. Mittego. Obie szkoły cieszą się bardzo liczną frekwencją młodzieży. Do handlowej zapisało się 370 kandydatów, techniczna liczy 136 uczniów.

— W tych dniach bawił w mieście naszym pan Espille, przedstawiciel belgijskiego towarzystwa eksploatacji elektrycznej, który badał warunki miejscowe co do puszczenia w ruch powozów poruszanych elektrycznością. Badania to wypadło bardzo pomyślnie i miasto nasze po zaprowadzeniu oświetlenia elektrycznego, będzie miało powozy elektryczne. Sprawa oświetlenia miasta elektrycznością jest kwestią bardzo niedalekiej przyszłości. Towarzystwo elektryczne „Helios“ zgodziło się na daleko idące ustępstwa, byle się tylko utrzymać przy koncesji.

— Druga wystawa higieniczna zamknięta została z początkiem b. m. Ogłoszone sprawozdanie wykazuje 56,108 rs. dochodu, a 55,764 rs. rozchodu. Dochód przewyższył więc dwa razy sumę osiągniętą w r. 1877. Wejść płatnych sprzedano około 180,000 rs., co czyni wraz z wstępem do dioramy m. Warszawy 38,263 rs. Ogółem przez turniekiety przez cały czas trwania wystawy przeszło 400,000 osób.

— W mieście Hrubieszowie zawiązało się grono niepalących. Do grona tego zapisało się na początek 6 osób, które powzięły myśl wkładać co miesiąc do wspólnej kasy po 3 rs.; kto zaczyna znowu palić traci wniesione składki i kołko może niemi rozporządzać dowolnie. Umowę podpisali uczestnicy kołka na lat dwa.

— Na prośbę Towarzystwa szkoły ludowej w Galicyi uchwalił Wydział krajowy przedłożyć Sejmowi wniosek udzielenia subwencji 10,000 złr. płatnej w dwóch latach na budowę polskiej szkoły wydziałowej w Białej, pod warunkiem, że gdyby kiedyś język polski przestał być wykładowym, subwencya ma być zwrócona funduszowi krajowemu.

— Luiza Blaha, słynna artystka, śpiewaczka węgierska, obchodzić będzie swój jubileusz, który postanowili wielbiciele jej talentu uczcić ofiarowaniem artystce narodowego podarku w sumie 100,000 guldenów. Dla zebrania tych pieniędzy, obmyślili oryginalny sposób: wykonano 50,000 fotografii pięknej jeszcze śpiewaczki i komitet sprzedawać je będzie w cenie po 2 gul. Ale nie darmo i tutaj musi artystka jeszcze popracować — na każdej bowiem fotografii podpisze dwa słowa: *Luiza Blaha*, zatem 100,000 wyrazów nakreślić jej przyjdzie, a to nie taka drobnostka jak się na pozór wydaje! Ciekawa rzecz, ile się też razy pomyli na 50 tysięcy? Ileż to jednak większych zasług ginie bez podpisu, bezimiennie, ileż to milknie bez echa głosów, które przemawiały w ciasnych kółkach dobroczynnym wpływem, a gdy ich czas ze sceny życia usunął,

sprawdziły się nad ich imieniem słowa poety: „trawa zarasta i deszcz wypłukuje...“

— W Poznaniu odbyło się dnia 1-go b. m. inauguracyjne przedstawienie tamtejszego teatru pod nową dyrekcją p. Edmunda Rygiera. Na program złożyły się: Prolog, napisany *ad hoc* przez Adama Asnyka, wypowiedział p. Rygier; w dalszym ciągu odegrano fragment z Mickiewicza; urywek z 2-go aktu *Balladyny* i *Fredrowską „Zemstę“*. Publiczność zapełniająca salę teatralną po brzegi, przyjmowała nową dyrekcję i artystów bardzo życzliwie.

— Szlaska izba lekarska wydała bardzo nieprzychylną opinię dotyczącą medycznych studyów kobiecych. Uważając za całkiem uzasadnione dążenie kobiet do wyższego wykształcenia, o ile to odpowiada naturalnemu położeniu kobiety, oświadcza się stanowczo przeciw dopuszczeniu kobiet do studyów medycznych; zdaniem izby brak kobiecie sił niezbędnych do wykonywania prawem przepisanych potrzeb lekarskich i że się przytem wykonywanie to nie zgadza z naturalną i społeczną pozycją kobiety. Wiedeńska i dolno-austriacka izba lekarska oświadczyła się również z pewnemi zastrzeżeniami za dopuszczeniem kobiet do studyów medycznych.

M Y Ś L I

Kto się poświęcił dla dobra ludzi, powinien o ich sądzie zapomnieć.

L. Krasinski.

Ktokolwiek jesteś, powiedz mi w co wierzysz, — łatwiejbyś życia się pozbył, niż wiarę jaką wynalazł, wzbudził wiarę w sobie.

Tenże.

Poruszać prawdę naukową, to znaczy, w myśli powtarzać myśli Stworzyciela.

Kepler.

Światło, światło, o, jaka to rozkosz!

K. Regnault.

Potrzeba nam, czy chcemy czy nie chcemy, stać się w obec zagadnień nowych... potrzeba zająć się w oczy rzeczywistości naukowej, w całej jej wielkości i w całej jej grozie.

E. Caro.

Przyczyny pierwsze nie należą do dziedziny nauki; nigdy ich niezdolamy osiągnąć ani w badaniu ciał żywych, ani w badaniu ciał nieorganicznych.

Claude Bernard.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 3 powieści p. t. *Dora*, przez Henryka Gréville. Przekład z francuzkiego.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ??—Dwa sonety, Mieczysława Glińskiego.—*Lubrańce*, powieść, przez Znicza (dalszy ciąg).—*Ruch muzyczny działalności kobiecej*.—*Z bieżącej chwili*.—*Myśli*.

Dodatek obejmuje: *Dora*, powieść, przez Henryka Gréville. Przekład z francuzkiego, ark. 3. — Przegląd mód. 28 wzorów i robót z opisem. — *Sekrety gospodarskie*.—*Dyspozycya stołu*.